

Antoni Sodula

Szamocin w Węgajtach

O Ernście Tollerze dowiedziałem się kilka lat temu z naszej „Borussii” publikującej fragmenty wspomnień tegoż niemieckiego ekspresjonisty, urodzonego w wielkopolskim Szamocinie i kompletnie nieznanego polskiej kulturze.

Pomyślałem wtedy, że dobrze, iż lata dziewięćdziesiąte zapełniają lukę po „czystce komunistycznej” nie uznającej nikogo z Niemców, kto urodził się na Ziemiach Zachodnich i Północnych, gdyż ich obecność zaprzeczała „krzepkiej piastowości tych ziem”. I tak straciliśmy: Ernsta Tollera, Anioła Ślązaka, Jakuba Boehme ze Zgorzelca. Wraz z nimi „wylano” też Keplera i Stendhala z Żagania, Tellemanna z Pszczyny itd. Pierwszym wyjątkiem było powstanie w latach siedemdziesiątych Muzeum Herdera w Morągu i coraz szersze publikacje, ale tak specjalistyczne, że np. o mistycyzmie Jakuba Boehme dowiedziałem się dopiero czytając „Góry niewzruszone” Jacka Woźniakowskiego (dla porównania – o Miltonie i Blake’u wiedziałem już w szkole średniej).

Niedługo po przeczytaniu w „Borussii” tekstów Tollera obejrzałem film telewizyjny, ukazujący Szamocin: wspomnienia starych mieszkańców i krewnych Tollera, jak miasteczko wyglądało przed laty, który z zakątków był związany z życiem poety, jak wygląda teraz itp. Obraz miasteczka, które jak gdyby „zasnęło” na przełomie wieków, zapadł głęboko w pamięć. I ucieszyłem się bardzo ze spotkania w Teatrze „Węgajty” w 1997 r. z Lubą Zarembińską, twórczynią Teatru „Stacja Szamocin” (wtedy jeszcze „Teatru 44”) przy okazji wystawiania „Spowiedzi w drewnie” nieodżałowanego Jana Wilkowskiego.

Z dużą uwagą słuchałem opowieści Luby Zarembińskiej o „walkach” o utrzymanie wydzierżawionej od PKP na potrzeby teatru dawno nieczynnej stacji kolejowej, o projektach, by na tej stacji odtworzyć symbolicznie wojenny exodus ludności. Pomyślałem wtedy o medytacjach w Oświęcimiu, gdzie i Żydzi, i Polacy, i Niemcy spotykają się teraz na rampie kolejowej – którą przemierzały miliony ofiar hitleryzmu – by modlić się o pokój na świecie.

Antoni Sodula, pisarz, nauczyciel; mieszka w Lutrach; ostatnio wydał „Dom nad jeziorem”, Olsztyn 1997.

W lipcu 1997 r. sam znalazłem się w Szamocinie. Ze wzruszeniem oglądałem „Ulicę Żywych i Umarłych”, czyli długą ulicę biegnącą od dworca w Szamocinie, przez ogródki, wille, potem dziewiętnastowieczną zabudowę z bramami, rymszotkami, secesyjnymi wzorami kamienic do trzech cmentarzy: katolickiego, ewangelickiego i żydowskiego (po którym dziś pozostały tylko resztki). I piękny nocny spacer tą ulicą: noc podkreślała wyraźnie, że jest to ulica i żywych, i umarłych.

I „Stacja Szamocin”, gdzie na torach i peronach rosły kwiaty, a młodzież teatralna z zapalą porządkowała zdewastowane przez nieobecność właściciela stare budynki kolejowe.

Wielkim przeżyciem było dla mnie obejrzenie spektaklu Tollera w teatrze mieszczącym się w magazynie kolejowym na stacji. Świadomość, że jest to budynek i miejsce, obok którego Ernst Toller żył, i który to miejsce musiał świetnie znać, nadawała spektaklowi charakter „dramatu miejsca”.

Podobny „dramat miejsca” – już naprawdę – rozegrał się (dla mnie) później, w czasie wyjazdu na dzisiejszą Ukrainę, gdy podążając szlakiem Bruno Schulza po Drohobyczu, zapytałem przewodnika:

– *To gdzie właściwie zginął Bruno Schulz?*

– *Tam, gdzie pan stoi – odpowiedział. – Na zakręcie ulicy, idąc po chleb (a sklep z chlebem nadal jest w tym samym miejscu!) został zastrzelony przez Niemca jadącego na motocyklu. Jak wiadomo, w prywatnej zemście dwóch bonzów gestapowskich.*

I tak jak nie ma cmentarza żydowskiego w Szamocinie, tak nie ma grobu Bruno Schulza, gdyż na miejscu jego mogiły i mogił innych ofiar żydowskich Związek Radziecki pobudował w latach sześćdziesiątych osiedle mieszkaniowe „awansując” tym samym Bruno Schulza do herosów ludzkości (jak choćby Mozarta) nie posiadających własnego grobu.

Tym większe było moje zdziwienie i zadowolenie, gdy w tym roku w trakcie wspólnej sesji W. K. „Borussia” i Teatru „Węgajty”, poświęconej problemowi żydowskiemu – z racji otwarcia Domu Przedpogrzebowego w Olsztynie projektu architekta Eryka Mendelsohna, jako miejsca spotkań kulturalnych – zobaczyłem w Teatrze „Węgajty” nową wersję „Ulicy Żywych i Umarłych” Ernsta Tollera, wersję jednoczącą w sobie „dramat miejsca” Szamocina i dramat dojrzewania Ernsta Tollera, a szerzej każdego żydowskiego – lub zwyczajnie – prześladowanego przez otoczenie dziecka. Wersję, w której obydwie te wątki splątały się, uzupełniając się wzajemnie, oczywiście też w realizacji Teatru „Stacja Szamocin”, zaproszonego gościnnie na sesję.

Wątek dzieciństwa i dorastania jest przedstawiony prosto i subtelnie:

– *Czemu ty, mamusiu, ciągle pracujesz?*

– *Bo ty, syneczku, ciągle chcesz jeść!*

Ale mały Ernst Toller, grany przepięknie przez chłopca Piotra Kliszewskiego, nie żyje w próżni. Przyjaźni się z innymi dziećmi: Polakiem Stanisławem (Łukasz Derwich) i Niemcem Maxem (Tomek Działara). W szkole wywyższają się jeden przed drugim, porównując otrzymane kanapki – Niemiec ma szynkę, Żyd ser, a Polak też chcąc też mieć kanapkę – składa dwie „gołe” kromki chleba razem.

Max wyśmiewa się ze Stanisława, Ernst powtarza za nim: *Polacy są brudni i mają pchły*. Ale o tym, kim jest żydowskie dziecko w Szamocinie, przekonuje się Ernst próbując zaprzyjaźnić się z małą Friedą (Alicja Derwich). Z placu zabaw zabiera wtedy młodą Niemkę jej niania Polka (świetna rola Idy Bocian), mówiąc: *Nie baw się z nim, bo to Żyd!*

Jak w kalejdoskopie role się zmieniają. Teraz Stanisław może się odegrać na Ernście, krzycząc: *Żydzi zabijają katolickie dzieci i spożywają ich krew w macie!*

– *To nieprawda!* – odpowiada Ernst.

– *A to, że Polacy są brudni i mają pchły, to prawda?* – pyta zgryźliwie Stanisław.

Nagle cała sala Teatru „Węgajty”, gdzie rozgrywał się spektakl Szamocina, mieszcząca jednocześnie scenę i widownię, huczy od krzyków *Jude! Jude!* Bo wokół sali są małe okienka: aktorzy (oprócz Ernsta) wyszli na dwór i „wałą” w każde okno rękami krzycząc *Jude!*

Chłopiec jest osaczony tymi krzykami. A wraz z nim jesteśmy osaczeni my, widzowie. To jedna z najgłębszych scen. W żadnym innym teatrze (nawet gdy oglądałem film o zbrodniach niemieckich) nie czułem się osaczony, nawet przy bardzo drastycznych scenach. Tu – tak. To wokół mnie, widza, ktoś we wszystkie okna walił i krzychał *Jude! Jude!* Do mnie krzychał. To było wstrząsające. I stary włóczęga, dawny żołnierz polski, w rogatywce i starym szynelu wojskowym, snujący się po Szamocinie i prorokujący: *Dzisiaj za to zginie jeden robotnik w nocy!* – trochę gnom, trochę Skarbnik (doskonała rola Edmunda Świerczyńskiego). Ale to właśnie ten włóczęga przekazuje w spektaklu Stanisławowi drewniany mieczyk, symbol walki narodowej.

I dojrzewający Ernst – scena z kucharką Jule (Magda Planeta). Zakochany w kucharce Ernst wysyła do niej list z *nakazem zrobienia Ernstowi ciasta*. Sam musi go zresztą jej przeczytać, gdyż wybranka nie bardzo sobie z listem daje radę i przy pierwszym trudniejszym słowie załamuje się; robią wspólnie ciasto ob-sypując się specjalnie mąką, tańczą, wirując razem upadają na łóżko. I w tym momencie wkracza oczywiście Matka (Lidia Woźniczka), bardzo ciepło grana we wszystkich scenach, oprócz tej właśnie.

Wszyscy byliśmy pełni podziwu dla chłopca (Piotra Kliszewskiego) i kucharki Jule (Magda Planeta), że tak wspaniale, czysto nie „odegrali”, raczej zaimprovizowali taniec miłosny i kuchenną zabawę.

Ktoś mógłby powiedzieć, że faworyzuję „Stację Szamocin”, pisząc w superlatywach o grze wszystkich aktorów ((niech mi darują dotąd nie wymienieni Nosiwoda (Artur Paczesny) i Dzwonnik (Ryszard Abraham)). Po spektaklu cała widownia urządziła aktorom owację, a później jeden z członków Zarządu WK „Borussia” szepnął mi, że dawno nie widział tak pięknego spektaklu. I nie był w tym sądzie odosobniony.

Ale aktorzy – zwłaszcza młodzi (Piotr Kliszewski, Łukasz Derwich, Alicja Derwich i Tomek Działara – to uczniowie szkoły podstawowej!) – nie grają doskonale „sami z siebie”. To ogromna zasługa reżysera, Luby Zarembińskiej, że umiała i nauczyć, i ośmielić aktorów, tak by zagrali „na najwyższej strunie”.

Jak wspomniałem na początku, czytałem fragmenty wspomnień Ernsta Tollera. Zwyczajne wspomnienia, pokazujące ważne i mniej ważne momenty życia w miasteczku Szamocin. Trzeba było ogromnej, wnikliwej pracy autora scenariusza i reżysera jednocześnie, by z tego dzienniczka zrobić dramatyczny tekst.

Spektakl byłby niepełny, gdyby nie muzyka, opracowana i samodzielnie wykonywana przez Jacka Hałasa w trakcie spektaklu. I brawa po spektaklu zakończyły się wspólnym tańcem aktorów i widzów w takt jego muzyki.

Antoni Soduła

* * *

Teatr „Stacja Szamocin” z Szamocina (woj. pilskie)
„Ulica Żywych i Umarłych” wg autobiografii Ernsta Tollera. Tłumaczenie z niemieckiego Barbara Zarzecka. Scenariusz i reżyseria Luba Zarembińska. Scenografia Tadeusz Malecki. Muzyka Jacek Hałas.